

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

5326 D

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

5326 D

1390

Własność publiczna!

Uprasza się nie pisać i nie niszczyć.

Biblioteka uniwersytetu ludowego
im. A. Mickiewicza w Przemyślu.

L. 118

Własność publiczna!

Uprasza się nie pisać i nie niszczyć.

Własność publiczna!

Uprasza się nie pisać i nie niszczyć.



1000171923

Tow. Przyjaciół nauk w Przemysłu.

5326 | **D**

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

22 118

AKSEL STEENBUCH

Własność publiczna!

Uprasza się nie pisać i nie niszczyć

MAŁE DRAMATY

I.

MAZURKA. — W MROKACH

przekład

Adolfa Strzeleckiego

Biblioteka uniwersytetu ludowego
im. A. Mickiewicza w Przemysłu.

L. 727
727

WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. AROTA

1905

A-20995

Дозволено Цензурою.
Варшава, Іюня 15 дня 1904 года.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

lit-13f.

K. 1160/56/4414

MAZURKA.

OSOBY:

Panna Laura Hagen.

Asesor Lassen.

Mortensen, pianista.

Wielki przemysłowiec.

Gabinet.

Po lewej stronie u przodu sceny jedyne drzwi, otwarte; widać przez nie duży salon, przygotowany do zabawy tanecznej.

Tuż koło drzwi stoi otwarty fortepjan, odsunięty od ściany i tak ustawiony, że grający odwrócić się musi plecami do publiczności.

Na fortepjanie palą się świece w lichtarzach.

Po prawej stronie u przodu sceny mały stolik przed sofą, otoczony małymi fotelikami.

W głębi po prawej stronie w kącie duże lustro z konsolą. Na konsoli paląca się lampa, przysłonięta kolorowym abażurem.

Gdy kurtyna się podnosi, scena jest pusta.

Przez drzwi z lewej strony wchodzi: wielki przemysłowiec i Mortensen.

PRZEMYSŁOWIEC (wskazując fortepjan). Jak pan widzi, kochany panie Mortensen, wszystko jest już przygotowane.—Tak ustawiliśmy fortepjan.

MORTENSEN (kładzie nuty na fortepianie). Tak... To tak samo, jak ostatnim razem.

PRZEMYSŁOWIEC. Zupełnie tak samo. Odsunęliśmy fortepjan od ściany, bliżej ku drzwiom. Zdaje mi się, że lepiej nie można było tego urządzić.

MORTENSEN. Tak... Tak musi być dobrze.

PRZEMYSŁOWIEC. Ale dziś musi nam pan grać z rozmachem, z życiem, z werwą, panie Mortensen! Wal pan w klawisze z całej siły! Nie oszczędzaj się pan! A jeśliby pan zechciał zwilżyć nieco swój talent, to proszę tylko dać znak któremukolwiek ze służby.

MORTENSEN. Dzięki stokrotne panu dobrodziejowi. Mój talent nie lubi, żeby go zwilżać. Wtedy najczęściej zawodzi.

PRZEMYSŁOWIEC. Tak? W takim razie z pewnością nie jest to prawdziwy talent.

MORTENSEN. Ach tak... Być może, iż to w istocie nie jest prawdziwy talent.

PRZEMYSŁOWIEC (zwracając się do drzwi). Posłuchajcie mnie tylko chwilę moje pa-

nie! Ten pan oto — to pan Mortensen. Proszę mu się dobrze przypatrzeć, bo to bardzo dziwny i godny uwagi człowiek... ach tak? panie go już znają! Przekonały się już panie o jego zdolnościach. Gdy uderzy w klawisze, nikt nie zdoła mu się oprzeć! Nogi same skaczą, a serca... Ach, mój Boże! Lepiej nie mówmy wcale o sercach.

Z salonu słychać śmiechy i oklaski.

A teraz jeszcze jedno poważne i mądre słowo do tego oto dziwnego człowieka. Jeszcze nim zacznie grać. Panie Mortensen, gdy pan będzie grał walca, to z życiem, z rozmachem, z werwą, tak, aby trzaski z podłogi leciały!

GŁOSY Z SALI. Słuchajcie, słuchajcie!

MORTENSEN (kłaniając się). Będzie to istny orkan, panie dobrodzieju, — istny orkan!

PRZEMYSŁOWIEC. No, więcej chyba nie możemy wymagać (klepie Mortensena po ramieniu). A teraz całe towarzystwo przejdzie do jadalni na małą, spokojną, cichutką przekąskę. Ale zaraz potem wrócimy tu i prosimy pana wte-

dy zacząć. Ale z życiem, z rozmachem, z werwą—panie!

MORTENSEN. Będzie to istny orkan, panie dobrodzieju,—istny orkan!

PRZEMYSŁOWIEC wychodzi.

MORTENSEN (sam, rozkłada nuty, siada do fortepjanu, preludjuje). No, to pudło już dawno nie było strojone. (Jeszcze raz preludjuje). Ach! Ci zamożni, bogaci kramarze! Że też ten naród zadawalnia się byle ochryplą pozytywką! Ale za to (kłania się) z hebanu—rozumie się! (ziewa, przeciąga się, siada przy fortepianie, ale tak, że nikt go nie może widzieć).

LAURA wchodzi w sukni balowej, przystępuje do lustra i poprawia kwiat, wpięty we włosy.

LASSEN (wchodzi tuż za nią). Lauro!

LAURA. Czego pan sobie życzy?

LASSEN. Dlaczego pani *tak* do mnie mówi? Dwa lata już minęły. Przez te dwa lata chodziłem w pokorze i czekałem,—czekałem cicho i ulegle, dążąc zawsze do tego, by móż rozmówić się z panią. Nigdy nie dała mi pani przyjść do słowa. Ale dziś mam silne postanowienie; muszę z panią mówić!

LAURA (chce wyjść i ominąć go, bo stoi jej w drodze). Pozwoli pan?...

LASSEN (prosząco). Lauro!...

LAURA (stanowczo). Czy pan pozwoli mi odejść?

LASSEN (patrząc jej w oczy). Nie! — Nie pozwolę pani odejść!

LAURA. Co... Co pan mówi?

LASSEN. Usiądźmy. Tylko na dwie minuty. Ileż to razy siedzieliśmy tak oboje i rozmawialiśmy z sobą — we dwoje! Nie byliśmy wówczas dla siebie «panem» i «panią». A potem... przyszło owo przewinienie z mej strony... a potem owe dwa lata, dwa długie lata, podczas których słyszałem tylko głos pani, gdyś z innymi rozmawiała, — lecz ani słowa, ani jednego dźwięku dla mnie...

LAURA. Ale teraz zechce pan pozwolić mi odejść stąd!... Czy pan słyszy?

LASSEN. Nie mogę na to pozwolić.

LAURA. Czy pan chce wywołać skandal?

LASSEN. Nie. Chcę pomówić z panią.

LAURA. Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

LASSEN. Nie wolno pani tak...

LAURA. *Nie wolno?*

LASSEN. Pani wie, że pani musi ustąpić. To, co nas ongi łączyło z sobą, było zbyt potężne i głębokie, by mogło tak zniknąć bez śladu i zerwać się na zawsze. Lauro, to może tylko utrwalić nasze szczęście! — Czy pozwoli mi pani mówić?

LAURA. Nie!

LASSEN. Ależ pani uniknąć tego nie może, skoro ja tego chcę. Czy pani nie widzi, że ja się zupełnie zmieniłem?... Nabrałem odwagi, — stałem się śmiały! (odwraca się ku drzwiom i mówi, zwracając głowę ku Laurze). Niech pani pomyśli... Mógłbym pozwolić sobie na mały żarcik i przymknąć nieco drzwi (przymyka drzwi).

LAURA (przerazona). Nie rób pan tego!

LASSEN. Niech się pani nie obawia! Niema nikogo w salonie, i minie jeszcze dobra chwila, nim ktokolwiek tam wejdzie. Czy może pani woli, bym drzwi zamknął? (zamyka je na klamkę).

LAURA. Otwórz pan! Gdyby kto nad-
szedł!...

LASSEN. I cóżby było? W takim ra-
zie tylko jabym się ośmieszył i nic
więcej.

LAURA. A ja?

LASSEN. Zresztą możemy drzwi za-
mknąć na klucz... w takim razie nikt tu
nie wejdzie (zamyka drzwi na klucz).

LAURA. Ah! Czy *to* było pańskim za-
miarem?

LASSEN. Co takiego?

LAURA. Zmusić mnie do przyjęcia
pańskich oświadczeń, pozostawiając mi
tylko ten sposób uratowania mej opinji.

LASSEN (zaskoczony, patrzy jej w oczy).
Wobec tego otworzę drzwi (chce drzwi
otworzyć, ale nie może).

LAURA. Nie może pan otworzyć?

LASSEN (ciągle kręci kluczem w zamku).
Jakby zaczarowane!

LAURA. Śpiesz się pan! Pozwól pan...
może ja... (kręci kluczem).

LASSEN. Niech pani pozwoli... Raz jesz-
cze spróbuję (trudzi się daremnie, przestaje).
Nie, nie można otworzyć!

LAURA (odchodzi od drzwi). I cóż teraz będzie?

LASSEN (idąc za nią, oddala się od drzwi). Tego nie chciałem.

GŁOSY ZA SCENĄ (coraz ich więcej i więcej). A to co? Drzwi zamknięte na klucz! Kto to zrobił? Co to ma znaczyć?

LASSEN (szepem). Przebacz mi pani!

GŁOSY ZA SCENĄ. Kto tam może być?

LASSEN (szepem). Na wszystko w świecie przysięgam pani, że tego nie chciałem. Gdybym mógł...

PRZEMYSŁOWIEC (za sceną). Ależ do diabła! Mortensen! Mortensen! Jesteś pan tam?

MORTENSEN (wstaje z za fortepjanu i podchodzi ku drzwiom). Jestem tu... — jestem, panie dobrodzieju.

PRZEMYSŁOWIEC. Ależ do stu tysięcy! Co pan wyprawia? Człowieku!

MORTENSEN. Męczę się, próbuję otworzyć drzwi, ale nie mogę! Nie mogę, panie dobrodzieju! Zamek się zaciął!

GŁOSY ZA SCENĄ. Zamek się zaciął!

MORTENSEN. Przepraszam najmocniej. Ja... ja przypadkiem... zupełnie przypadkiem...

PRZEMYSŁOWIEC. Co takiego?

MORTENSEN. Przycisnąłem trochę...

PRZEMYSŁOWIEC. Klucz?

MORTENSEN. Tak jest. Przycisnąłem trochę klucz... tego... zamek... drzwi... i... zawiasy i... wszystko...

PRZEMYSŁOWIEC. Ależ, pan chyba o-
szalał panie Mortensen!

MORTENSEN. Nie! Z pewnością nie, pa-
nie dobrodzieju! Ale ja... nie, dopraw-
dy ja nie wiem, jak to się stało... nie
mogę sobie inaczej tego wytłómaczyć,
tylko... nagły zawrót głowy...

PRZEMYSŁOWIEC. Ależ pan musisz być
pijany, panie Mortensen!

MORTENSEN. Nigdy w życiu nie byłem
pijany, panie dobrodzieju! Ale zdaje mi
się, że nagły zawrót głowy... Straciłem
nagle równowagę... wtedy mimowolnie
musiałem chwycić za drzwi... oprzeć
się o nie... i wtedy one zatrzaskły się...
musiałem pochwycić klucz, a ten natu-
ralnie przekręcił się w zamku i tak...
Rozumie się, że tak musiało być i za-
mek się zaciął i ani rusz go otworzyć.

PRZEMYSŁOWIEC. To ładna historia!

MORTENSEN. Tak... T... t... tak.

PRZEMYSŁOWIEC. Śliczna historia!

LAURA (ściska rękę Mortensena — szeptem).
Dziękuję panu!

LASSEN (szeptem, ściskając rękę Mortensena).
Nigdy panu tego nie zapomnę! (głośno
woła). Panna Hagen i ja jesteśmy tu
zamknięci razem z panem Mortensenem.

PRZEMYSŁOWIEC. Ależ, przepraszam
panią najmocniej za tę przykrość, pan-
no Lauro i pana, panie Lassen! Panie
Mortensen!

MORTENSEN. Słucham pana dobro-
dzieja.

PRZEMYSŁOWIEC. Z pana straszny, nie-
prawdopodobny niezgrabiasz, panie Mor-
tensen! Tak! Teraz trzeba naturalnie
posłać po ślusarza.

MORTENSEN (cicho, zacierając ręce). Ślusa-
rza! Długo trzeba będzie go szukać —
w niedzielny wieczór!

PRZEMYSŁOWIEC. Przepraszam was jesz-
cze raz, moi państwo. Bawcie się tam,
jak możecie!

LASSEN. Rozumie się! Postaram się
o to (zwraca się do Mortensena). Ale skąd
pan się tu wziął?

MORTENSEN. Stąd (wskazuje na fortepjan).

Siedziałem sobie tam, czekając aż przyjdzie czas, kiedy trzeba będzie zacząć grać do tańca... Ubiegłej nocy także grałem. Przez całą noc. To też niewiele brakowało i byłbym się zdrzemnął — tak jednym okiem.

LASSEN. Nie wiem, jak mam panu dziękować!

MORTENSEN. Najlepiej pan to zrobi, postępując tak, jakby mnie tu wcale nie było (gasi świece, stojące na fortepianie).

LAURA (usiadła przy stoliku po prawej stronie). Dlaczego pan gasi świece?

MORTENSEN. Ach prawda! Świece te nie są moją własnością. Widzi pani, przyzwyczailem się u siebie w domu obchodzić się ze świecami bardzo oszczędnie; a te tutaj paliłyby się całkiem niepotrzebnie przez cały czas nim ślusarz przyjdzie (kłania się). Tak. A teraz, jeśli państwo pozwolą, odejdę.

LAURA (ogładając się). Dokąd?

MORTENSEN. Tam, za fortepjan, żeby się przespać... ale na oba oczy (siada za fortepjanem).

LASSEN podchodzi do stolika z prawej strony i staje przy nim.

LAURA. Pan nie siada?

LASSEN. Nie, pani.

LAURA. Powinien pan usiąść. Nasze więzienie potrwa może długo.

LASSEN. Dlaczego pani do mnie mówi?

LAURA. Tak! I ja stałam się odważną.

Chwila milczenia.

Zresztą żal mi pana.

LASSEN. Pani mnie żałuje?

LAURA. Tak. Bo to, co pan zrobił, było bardzo niezgrabne. Byłabym w zupełnie innym usposobieniu, gdyby ta cała historia nie była wzięła tak komicznego obrotu. Tak. Ale zdaje mi się, że pan przed chwilą mówił, że pana nic a nic nie obchodzi, czy pan jest śmieszny, czy też nie?

LASSEN. Nie myślałem wtedy wcale o tem, że mogę kiedykolwiek stać się śmiesznym w oczach pani.

LAURA. Mówią, że szczęście znaczy więcej, niż rozum. Gdy w grę wchodzi ludzie tej miary, co Nordenskjöld, albo Karol XII i tym podobni, wówczas mówi się, że szczęście idzie w parze z odwagą. I to bardzo dobrze brzmi.

LASSEN. Ale gdy w grę wchodzi na przykład... asesor?

LAURA. Wtedy mówi się, że ma wielkie szczęście, jeżeli dobrze wybrnie z...

LASSEN. Z głupiej sytuacji...

LAURA (potakująco porusza głową). Sam pan powiedział. To nie brzmi wcale tak pochlebnie i dobrze jak to, co się mówi o Karolu XII.

LASSEN. Zdaje mi się... Czy to ma znaczyć, że pani mi pozwala z sobą?

LAURA. *Gawędzić* ze mną — jeżeli pan pozwoli.

LASSEN (cofa się). W takim razie...

LAURA. Pan może tego nie chce?

LASSEN. Czego?

LAURA. *Gawędzić* ze mną.

LASSEN. Nie mogę.

LAURA. Ale powinienby pan módz.

LASSEN. Czy *musimy* tylko *gawędzić*?

LAURA. Rozumie się. Lekko, swobodnie i obojętnie, o rzeczach obojętnych. I nie wolno zatrzymać się *ani na chwilę*. — *Żadnej pauzy!*

GŁOS KOBIECY (za sceną). Lauro!

LAURA (woła). Co?

GŁOS KOBIECY. Jakże ci tam?

LAURA. Dziękuję. Wybornie.

GŁOS MĘZKI (za sceną). Czy pani się dobrze bawi, panno Lauro?

LAURA (woła). Jakżebym mogła źle się bawić, kiedy mam dwóch rycerzy, starających się mnie rozerwać.

GŁOS MĘZKI. Dwóch?

LAURA. Tak jest. Pan Lassen i pan Mortensen.

MORTENSEN (zrywa się z krzesła za fortepjanem). Co pani każe?

LAURA. Ach, przepraszam, przerwałam panu!..

MORTENSEN. Nie, nie! Wcale nie! Zupełnie nie! (siada znowu).

LAURA (do Lassena). Wygląda pan, jakby panu przyszło na myśl coś bardzo wesołego.

LASSEN. Wesołe to nie jest, ale ciekawe.

LAURA. W takim razie może pan tę *ciekawą* myśl wpleść w gawędę.

LASSEN. Powiedziała pani przed chwilą, że mam szczęście, gdyż tak zgrabnie

udało mi się wybrnąć z głupiej sytuacji...
Ale...

LAURA. Tu niema żadnego «ale».

LASSEN. Owszem jest, i to właśnie jest ciekawe. Niech pani tylko pomyśli: Czego ja tak gorąco pragnąłem? Być z panią sam na sam, odcięty od całego towarzystwa, choćby tylko przez pięć minut! A teraz jesteśmy zamknięci może nawet i na kwadrans, ale Mortensen zamknięty jest z nami razem i nie jesteśmy sam na sam.

LAURA. Nie mogę się na to zgodzić, co pan mówi. Czy to nie należy nazywać wielkiem szczęściem, że panu przeszkodzono wykonać zły zamiar.

LASSEN. Zły zamiar?

LAURA. A czyż to *nie był* zły zamiar?

LASSEN. Teraz pani z pewnością nie gawędzi.

LAURA. Może pan zresztą mówić, nie gawędzić, byle tylko pan mówił rozsądnie.

LASSEN. A więc wolno mi? (siada).
W takim razie muszę pani powiedzieć, że...

LAURA. Widzę już z pańskiej twarzy, że to, co pan chce powiedzieć, nie jest rozsądne (wstaje).

LASSEN (wstaje również i wyciąga do niej rękę). Lauro!

LAURA. Widzi pan sam, że miałam słuszność (idzie do fortepjanu). Czy pan się nie nudzi, panie Mortensen?

MORTENSEN (nie wstając). Śpię, proszę pani.

LAURA. Czy pan niechętnie by się zbudził?

MORTENSEN. Mnie wszystko jedno. Jak pani sobie życzy.

LAURA. Jabym pana bardzo chętnie zbudziła, gdyby pan pozwolił.

MORTENSEN (zrywa się z krzesła i podchodzi na środek sceny). W takim razie budzę się natychmiast.

LAURA. Czy nie zagrałby pan nam cokolwiek.

MORTENSEN (drapie się w głowę). Całe towarzystwo tam w sali rzuci się na muzykę, jako stado głodnych wilków.

LAURA. A czy to co szkodzi?

MORTENSEN. Gdy ludzie w balowych sukniach zaczną skakać, to już nic ich

nie powstrzyma. Będą skakać bez końca. A ja tak się cieszyłem z tego, że będę mógł tu siedzieć w kąci i zapłacony czas przedrzemać, nim ślusarz przyjdzie.

LAURA. A gdyby pan zagrał *pianissimo* i rzecz nie do tańca?

MORTENSEN. Czy pani sobie tego życzy?

LAURA. Bardzobym tego pragnęła.

MORTENSEN. W takim razie spróbuję (siada do fortepjanu i gra *pianissimo*).

LAURA. To bardzo piękne.

MORTENSEN. Doprawdy?

LAURA. Przypomina mi to, jak raz, w dzień zimowy, zajrzałam do pokoju mej babki. Był to malutki, miluchny pokoik. Czerwone portjery u okien, duży, kaflowy kominek...

MORTENSEN. Jakże piękny obrazek pani podkłada pod tę melodję... Tego ja nigdy sobie nie wyobrażałem, grając ją.

LAURA. A cóż panu przychodziło na myśl.

MORTENSEN. We mnie z tą melodją łączyła się wizja dużej sali... Widzia-

łem salę, raczej długi, szeroki bardzo kurytarz, w nim mnóstwo światła, dywany na posadzce, obrazy na ścianach...

LAURA. I ten obraz łączył się z tą małą, subtelną melodją?

MORTENSEN potwierdza ruchem głowy.

LAURA (patrzy na niego przez chwilę). A czy możnaby wejrzeć na chwilę w ten długi kurytarz, dywanami wyłożony, pełny światła?

MORTENSEN (potrząsa głową). Boję się, że drzwi do tego kurytarza zamknęły się, a zamek by się zaciął (urywa), ale, jeżeli pani zechce usiąść, to zagram tanczną melodję, starą mazurkę, *pianissimo*, tak, jakgdyby melodja wypełzała poprzez zamknięte drzwi ku temu, co stoi za drzwiami.

LAURA (siada przy stoliku po prawej stronie, zwraca się do Lassena). Słyszał pan, jak on pięknie grał?

LASSEN. Nie. Nie słyszałem.

LAURA. W takim razie ta melodja dostrajała się do pańskich myśli,—bo inaczej przeszkadzałyby panu w nich.

LASSEN. Jaka to była melodja?

LAURA. Tęskna—smętna.

LASSEN. W takim razie może się dostrajała do myśli.—Siedziałem tu i było mi tęskno i smętnie.

LAURA. Czy pan myślał tylko o sobie?

LASSEN. Oh, to szkaradne pytanie.—Zresztą rzeczywiście myślałem o sobie. Widziałem siebie jako małego chłopca w krótkich spodenkach, w czapce na bakier, wtedy, kiedy to ojciec mój, pociągając mię za ucho, mawiał: «taki wesoły chłopak, który z wszystkiego śmiać się może i niema nic w sobie, coby musiał taić, ma przed sobą przyszłość jasną, piękną». A potem ujrzałem siebie siedzącego tu; no i... tak... Tylko siedzącego tu! A wreszcie ujrzałem siebie takim, jakim będę za lat dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści... nie... na razie stańmy na dwudziestu latach. Wtedy będę miał pięćdziesiąt lat. — Mój Boże! Jak to inaczej w życiu dzieje się dzieciom, niż im rodzice przepowiadają wtedy, gdy je za uszy jeszcze ciągną...

LAURA. Gdyby tak nie było...

LASSEN. Ma pani słuszość. Któżby w takim razie — prócz innych — zaludniał owe niezliczone starokawalerskie mieszkania, w których się nie żyje, tylko rozmyśla i to gorzko, smutnie.

LAURA (pochylając się naprzód). Możeby pan grał trochę głośniej, panie Mortensen?

LASSEN. Nie. Ja nie myślę zwałać swej winy na innych. Ale, ale czasem zdaje mi się, że postąpiono ze mną surowiej, niż było potrzeba, niż należało, niż było sprawiedliwie. Czy to, co ja uczyniłem, było już tak straszne, że nie zasługiwało na przebaczenie? — Tak, to prawda, zdradziłem panią. Nie przeczę temu. Ale to była tylko lekkomyślność i bezmyślność.

LAURA. Jeszcze głośniej, panie Mortensen!

LASSEN. Byłoby szaleństwem twierdzić, że to, co się stało, może się odstać i że mogłoby się wymazać z przeszłości. Ale można twierdzić — i to z całą słuszością — że popełniony zły czyn można zmazać poprawą i pokutą, starając się o to, by zdobyć prze-

baczenie i zapomnienie.—A tego można pragnąć gorąco, gorąco, wszystkimi siłami swej duszy.

LAURA (do Mortensena). Graj pan głośniej! Jeszcze głośniej! Tak głośno, jak tylko możliwe!

GŁOSY (zewnątrz). Brawo! brawo! Teraz możemy zacząć tańczyć.

GŁOS PROWADZĄCEGO TAŃCE (kłapanie w dłoń). Moi panowie! Proszę zaangażować panie!

LASSEN (do Laury). Co to znaczy? Czy pani sądzi, że ja dam zagłuszyć moje słowa?

LAURA. Teraz to już muzyka do tańca.

LASSEN. Przez całe życie żałowałbym i odżałowałbym nie mógł, gdybym teraz dał się zmusić do milczenia.

LAURA. Panie Mortensen!

LASSEN. Tak, tak! Niech pani każe mu jeszcze silniej walić w klawisze i przyciskać pedał, żeby to brzmiało jak ryk jakiś, a nie jak muzyka! Ale wtedy ja będę krzycheć. Tak! Niech się pani na mnie patrzy. Byłem pokorny i cichy, ale teraz męczy mnie pani i nę-

ka tak strasznie, że w istocie krzyczę-
bym chciał z bólu.

LAURA. Musi pan przestać grać, panie
Mortensen! Musi pan przyjść tutaj i sięść
przy nas.

MORTENSEN (gra dalej). To niemożliwe,
proszę pani. Tam w salonie już zaczęli
tańczyć.

LAURA. To nic nie pomoże. Musi
pan!

MORTENSEN (gra dalej). Ale niech Bóg
broni. Tam już mnóstwo par tańczy.

LAURA. Proszę pana!

MORTENSEN. Pani mnie prosi? Ha, w
takim razie... (urywa nagle grę i wstaje).

GŁOSY (z zewnątrz). Co to ma znaczyć?
Grać dalej! Grać dalej!

GŁOS PRZEMYSŁOWCA (z zewnątrz). Co
tam się stało, panie Mortensen?

MORTENSEN. Przepraszam stokrotnie
pana dobrodzieja! Ja... kurcz mnie chwy-
cił w rękę... nagle...

GŁOS PRZEMYSŁOWCA. Panie Morten-
sen!

MORTENSEN. Słucham pana dobrodzieja!

GŁOS PRZEMYSŁOWCA. Jesteś pan nie-
możliwy!

GŁOSY KOBIECE (z zewnątrz). Włóż pan rękę do wody!

MORTENSEN. Kiedy tu niema wody.

GŁOS KOBIECY. W takim razie niech pan Lassen wymasuje panu rękę.

GŁOSY KOBIECE. Tak, tak, panie Mortensen! Niech pan tak zrobi!

MORTENSEN. To nicby nie pomogło. Ja znam ten kurcz—bardzo złośliwy—nie ustępuje tak łatwo — strasznie złośliwy.

GŁOSY (z zewnątrz). Aaa... aa...

MORTENSEN (idzie w prawą stronę). Teraz służę pani.

LAURA. Dziękuję. Więc niech pan tu usiądzie.

MORTENSEN (siada; chwila milczenia). Czy mam jeszcze siedzieć?

LAURA. Tak. Proszę pana.

LASSEN. Pan Mortensen prosił mnie przedtem, by nie zwracać na niego uwagi i zachowywać się tak, jakby go tu wcale nie było. A więc... pana Mortensena tu niema.

MORTENSEN. Nie... ja... mnie tu niema.

LAURA (do Lassena). Chyba pan nie będzie...

LASSEN. Skoro pana Mortensena tu niema, w takim razie jesteŃmy sami.

LAURA. Ale dla mnie pan Mortensen tu jest.

MORTENSEN (chce wstać). Zdaje mi się, że ten kurcz już minął. Czy nie byłoby lepiej...

LAURA. Nie... Proszę pana, niech pan siedzi.

LASSEN. Gdyby nawet tłumy ludzi tu były, terazbym nie zwrócił na to uwagi! — Lauro!

LAURA (przerywa mu). Nie! Nie!

MORTENSEN. Przepraszam! Ale — czy mnie tu rzeczywiście niema? Nigdy sobie nie wyobrażałem, że to tak przykro jest być nieobecnym.

LASSEN. Dlaczego pan mi przerywa?

LAURA (żywo). Pan Mortensen i ja chcemy ze sobą pomówić (do Mortensena) Prawda?

MORTENSEN. Pomówić? My?

LAURA. Ależ tak! Pan wie przecież! Czy pan sobie nie przypomina? — Ten długi kurymarz pełny światła, wysłany dywanami? Czy nie *mógłby* pan

mnie choć na chwilę tam wpuścić i pozwolić mi zobaczyć to, co tam jest? Jak pan sądzi?

MORTENSEN (potrząsa głową). To niemożliwe! To nie da się zrobić.

LAURA. Ale ja proszę pana...

MORTENSEN. Ach nie! Nie... Pani tego nie może odemnie żądać! Niech pani mnie o to nie prosi... Mnieby to przykrość sprawiło!...

LAURA. Ale ja pana, mimo to, proszę... błagam pana!

MORTENSEN. Ha, w takim razie *muszę* już chyba...

LASSEN. A gdybym ja pana teraz poprosił o milczenie, panie Mortensen.

MORTENSEN. Tego pan nie może zrobić. Przecież dla pana ja tu nie istnieję, niema mnie tu poprostu. — Więc opowiem pani tę historję — starą, znaną historję.

LAURA. Dobrze, dobrze!

MORTENSEN. A więc mamy już ten długi, szeroki kurytarz — tak — kurytarz! Dywany, obrazy i tak dalej... Nogi stały po miękkich puszystych dywanach; zewsząd szły zapachy cudowne, w sali

balowej opodal brzmiała muzyka—grano mazurkę. Dźwięki melodji dochodziły do ucha jakby tchnienie poprzez miękką, subtelną tkaninę. W kurytarzu nie było nikogo, prócz jednego tylko człowieka. Nizki, blady mężczyzna przechadzał się wzdłuż kurytarza, tam i napowrót. Wyglądał na artystę, ubrany był skromnie; rozumie się, miał długie włosy i bujną czuprynę.

Z sali balowej wyszła młoda kobieta—dama—subtelna, mała, ramiona jej wykwitwały puszyście z szerokich rękawów sukni, a włosy... nigdy w życiu nie widziała pani włosów tak miękkich i jasnych, splecionych w długie warkoczki. Przystąpiła do owego niskiego mężczyzny i ukłoniła się mu. Przyszła umyślnie, by dać mu sposobność wypowiedzenia wszystkiego, co on ma na sercu, jeśli ma cokolwiek... Czy pani wie, co on jej powiedział?

Ani słowa.

LAURA. Jakto?...

MORTENSEN. Nie zdobył się na to. Nie miał odwagi. Ona była jego ideałem...

a wobec ideału swego czuje się lęk taki i obawę, jakby przed bóstwem.

LAURA. Czy to już wszystko?

MORTENSEN. Nie. Teraz będzie jeszcze coś śmiesznego. — Śmieszność jest zawsze tam, gdzie jest niepowodzenie. Nigdy jej tam nie brak. Ten blady, niski mężczyzna wszedł do sali balowej. Grano wciąż jeszcze mazurkę, tę samą starą mazurkę, którą ja grałem. Mężczyzna ów przypomniał sobie nagle, że mazurki tańczyć nie umie, nie umie innego tańca, prócz polki, a od biedy i galopki, że wogóle jest lichym tancerzem... I wtedy staje przed ową młodą damą i kłania się jej... strasznie zmieszany, zakłopotany i bełkoce z trudem, że mazurki tańczyć nie umie.

LAURA. A cóż się z nim potem stało?

MORTENSEN. Ach... Potem zdjęto obrazy ze ścian, dywany zniknęły z parkietów, światła pogasły... Tak, tak, to się z nim potem działo.

LAURA. A co się z *nią* potem stało?

MORTENSEN. Taka nadziemsko piękna, mała istota znika zawsze jak pasmo mgły, snujące się w przestworzu w

dzień słoneczny i jasny, gdy powietrze jest przejrzyste i suche. — Pozostała po niej na ziemi bardzo ziemską, małą kobietą, noszącą imię i nazwisko i zewnętrzny wygląd tamtej. I ta bardzo ziemską, małą kobietą — mówiąc prosto — wyszła potem za męża za jakiegoś bogatego kupca.

LAURA. Czy ten kupiec był porządnym człowiekiem?

MORTENSEN. Mierzył wstążki na łokcie, sprzedawał gorsety i wiedział doskonale, ile płótna trzeba na jedną koszulę. Zresztą zdaje mi się, że nicby się o nim nie dało więcej powiedzieć.

LAURA. A czy *ona* była szczęśliwa?

MORTENSEN. Ona?... Miała dużo dzieci, a potem umarła.

Milczenie.

LAURA. Ta historia zupełnie inaczej powinna była się skończyć.

MORTENSEN. Zakończenie, to zawsze najdrażliwszy punkt każdej opowieści. To widocznie z tego wynika, iż rzeczywistość, powszednie życie niema innego zakończenia tylko jedno: chwilę,

w której się oczy zamyka na zawsze, na wieki. — Człowiek się starzeje, dreptać zaczyna z trudem po ziemi małymi kroczkami, śmieje się rzadko, nigdy nie płacze, bacznie pilnuje godzin każdego posiłku; jeden człowiek od drugiego niczem się już nie różni, jeden taki sam jak drugi, każdy rozplywa się w tej wielkiej, wspólnej rezygnacji. (wstaje i podchodzi do fortepjanu). No, a teraz chyba najlepiej zrobię, zapalając znów świece.

LAURA. Nie! Niech pan jeszcze chwilę zaczeka!

MORTENSEN. Jak pani każe!

Milczenie.

LAURA. Panie Mortensen!

MORTENSEN. Służę pani.

LAURA. Dziękuję panu za tę opowieść.

MORTENSEN. To ja pani powinienbym dziękować.

Milczenie.

LAURA. Panie Mortensen!

MORTENSEN. Służę pani.

LAURA. Ja... ja... chciałam panu tylko powiedzieć, że gdybym była mogła wyobrazić sobie... tak, to jest — zdaje mi się—ale pan mnie już może zrozumiał... W takim razie nie byłabym pana prosiła o to opowiadanie.

MORTENSEN. Dziękuję pani! (siada do fortepjanu).

LAURA (wkrótce potem zwraca się do Lassena). Dlaczego pan *teraz* nie mówi?

LASSEN. Nie. Teraz już mówić nie będę.

LAURA patrzy mu w oczy przez chwilę.

LASSEN. Dlaczego pani teraz przemówiła?

LAURA. Ja?

LASSEN. Można wiele powiedzieć, nic nie mówiąc.

LAURA. Mówiłam sama z sobą.

LASSEN. To, co ludzie nazywają monologiem (wstaje). Zdaje mi się, że teraz już chyba możemy poprosić pana Mortensena, żeby zapalił świece.

LAURA (gwałtownie). Ale ja tego nie chcę,—powtarzam panu—jeszcze nie!

LASSEN patrzy na nią zdziwiony.

LAURA. Niech pan usiądzie. Teraz *ja* chcę mówić.

LASSEN (siada). Czy sama z sobą?

LAURA (potakująco porusza głową). Ale panu wolno słuchać mych słów (po chwili). Teraz mi serce zmiękło, jest mi tęskno i smutnie.

LASSEN. W takim razie na mnie przyszłoby kolej zapytać, czy pani tylko o sobie samej myślała?

BIBLIOTEKA **POWIEŚĆ** **LUBIN**. O sobie samej. — Niech mi pan powie... czy niema pan tego wrażenia, **LUBIN** pan idąc drogą, minął nieznanego człowieka... minął go tylko, ujrzał go przelotnie, ale tylko przelotnie, tak, że pan zobaczył zaledwie oczy tego człowieka?

LASSEN. Kogo pani ma na myśli?

LAURA (zwraca głową w stronę fortepjanu i wskazuje nią Mortensena). To jeden z tych samotników, z tych zawiedzionych samotników. Ma to w oczach i w uśmiechu. Nie zapomni go się nigdy, choćby go się tylko przelotnie spotkało, choćby się tylko przeszło mimo niego i nie ujrzało go

już nigdy więcej. (Po chwili milczenia). Czytając książkę, w której spotykam coraz to innych ludzi, nie mam nigdy tego wrażenia—choćbym się tymi ludźmi niewiedzieć jak zachwyciła.

LASSEN. W takim razie książki te nie są napisane z wielkim artyzmem.

LAURA. O nie. Najwspanialsze arcydzieła, jakie tylko istnieją, nigdy mi nie dadzą tego, co mi da spojrzenie w oczy żywego człowieka. Powieści, które mnie zajmują, czytam w książkach,—powieści, które mnie uczą—czytam w twarzach ludzkich.

LASSEN. Ma pani doskonałe oczy.

LAURA. Widzi pan, w chwili gdy *on*—*on* przesunął się koło mnie—musiałam pomyśleć o sobie samej. Widziałam siebie samą, jako starą pannę — starą pannę, która rzadko się śmieje, nigdy nie płacze, bacznie pilnuje godzin swego posiłku... (potrząsa głową). Nie! nie!— I uczułam taką litość nad sobą samą, bo — bo ja mam jeszcze tyle odwagi, że chcę żyć.

LASSEN. Ale któż mówi, że...

LAURA (przerywając mu). Ja sama to mówię.

LASSEN. Może pani spotkać innego...

LAURA. Nigdy nie spotkam innego.

Milczenie.

LAURA (pochylając się ku Lassenowi). Co pan ma taki smutny wyraz twarzy!

LASSEN. Pani mówi tak rozsądnie...

LAURA. A czy mam mówić nierozsądnie?

LASSEN. Istnieje coś, co się nazywa małżeństwem z rozsądku.

LAURA. Jesteśmy chyba jednakowo bogaci, — albo też jednakowo biedni.

LASSEN. Można być egoistą i rachować nawet wtedy, gdy nie idzie o pieniądze.

LAURA. Niech pan mnie jeszcze posłucha. Myśląc tak o sobie samej, widziałam także i pana. Było to właśnie przed chwilą — wtedy, gdy pan zauważył, że można wiele powiedzieć, nic nie mówiąc. — Widziałam pana jako starca, który rzadko się śmieje — który nigdy nie płacze, bacznie pilnuje godzin swe-

go posiłku. I tego widoku — tego — (pochyla się wstecz, zasłaniając twarz rękami) tego znieść *nie mogłam*.

LASSEN (zrywa się). Lauro! (pochyla się nad nią i tuli ją do siebie). Nie! nie mów nic! (całuje ją). Żadne z nas nie potrafi nigdy wypowiedzieć słów tak pełnych miłości jak te, któreś ty przed chwilą wypowiedziała (chwila milczenia). Teraz... teraz trzeba nam światła! (mówi zwrócony do fortepjanu). Panie Mortensen! niech pan zapali świece, teraz panna Laura prosi pana o to bardzo.

MORTENSEN (wstaje). Tak. Teraz już czas po temu, bo słyszę, jak ślusarz majstruje koło zamku.

Drzwi otwierają się.

Kilka pań i kilku panów wchodzi.

PRZEMYSŁOWIEC. Ależ na miłość boską, co to jest? Czy to pan zgasiłś świece, panie Mortensen?

MORTENSEN. Przepraszam stokrotnie pana dobrodzieja! Stało się to mianowicie tak... przypadkiem... przypadkiem...

PRZEMYSŁOWIEC. Co?

MORTENSEN. Tak. W każdym razie to musiało się tak zdarzyć... ostatniej no-

cy także grałem do tańca — aż do białego dnia... i... w każdym razie z pewnością tak było, o ile sobie przypominam... wczoraj deszcz padał, było bardzo wilgotnie... tak, bardzo było brzydko na dworze — tak, tak, doprawdy — było szkaradnie na dworze.

PRZEMYSŁOWIEC. Ale co *mnie* to obchodzi?

MORTENSEN. Tak, ta-ak. Najprawdopodobniej musiałem się przeziębic w tę paskudną aurę... w tę świńską aurę... musiałem się przeziębic.

PRZEMYSŁOWIEC. Ale co do diabła *pańskie* przeziębienie ma wspólnego z *mojemi* świecami?

MORTENSEN. Kichnąłem, panie dobrodzieju! Kichnąłem. I wtedy... obie świece zgasły.

PRZEMYSŁOWIEC. Nie... Wie pan, panie Mortensen!... Najpierw ten zamek, który się zaciął...

MORTENSEN. Tak, wiem o tem, — pamiętam.

PRZEMYSŁOWIEC. Potem ten kurcz w ręce! A na końcu ten pomysł, żeby zgasić świece.

MORTENSEN. Muszę przyznać, panie dobrodzieju, że wistocie bardzo dużo, jeżeli się tak razem zbierze.

LAURA. A jednak to jeszcze bardzo mało. Pan Mortensen ma wielkie zasługi—to rzadki, wybitny człowiek!

PRZEMYSŁOWIEC. Cooo?

LAURA. Był tak miły, tak przyjemny, zabawiał nas tak dobrze, że wprost nie mogłabym sobie wyobrazić przyjemniejszego i bardziej pożądanego towarzysza w tem więzieniu.

PRZEMYSŁOWIEC. Skoro pani tak twierdzi, to ja, jako uprzejmy gospodarz, muszę jeszcze naturalnie podziękować panu Mortensenowi (klepie Mortensena po ramieniu). Ale teraz, kochany panie Mortensen, zaczynaj pan i wal pan ostro! z werwą! z rozmachem! (zwraca się do obecnych gości). Czy mogę teraz was prosić, moje panie i moi panowie! Starajmy się powetować to, cośmy stracili.

GOŚCIE. Owszem! Owszem!

Wodzirej klaszcze w dłonie, dając znak do rozpoczęcia tańców.

MORTENSEN siada do fortepjanu i zaczyna grać.

Panowie podają ręce paniom; pary przechodzą do salonu.

PRZEMYSŁOWIEC przechodzi także do salonu.

LASSEN i LAURA wychodzą pod rękę ostatni. Przechodząc mimo fortepjanu Laura zatrzymuje się i kładzie rękę na ramieniu Mortensena.

MORTENSEN nagle przerywa grę, odwraca się i ściska szybko rękę Laury.

PRZEMYSŁOWIEC (głos z zewnątrz). Ależ panie Mortensen!

MORTENSEN gra dalej.

Kurtyna spada.

W MROKACH.

OSOBY:

Syn	Córka
Matka	Obcy.

I.

SYN. Czy to pan?

OBCY. Czy pan mnie zna?

SYN. Mam tylko powiedzieć panu, że moja siostra nie przyjdzie.

OBCY. A któż jest pańską siostrą?

SYN. Agnieszka.

OBCY. Dużo kobiet tak się nazywa.

SYN. Ludzie mówią, że jest podobna do mojej matki.

OBCY. Nie znam pańskiej matki.

SYN. Ależ Agnieszka, moja siostra, podobna do mojej matki, ośmnastoletnia dziewczyna. To ona nie przyjdzie.

OBCY. I dlaczego pan mi to mówi?

SYN. Matka moja powiedziała, że pan jest tym właśnie...

OBCY. A czy matka pańska widziała mnie?

SYN. Nie. Matka moja jest niewidoma. Pewnego wieczora weszła do mego pokoju, gdy byłem pogrążony w czytaniu; gdy czytam, nie słyszę nic i nie wiem, co się poza mną dzieje, nie słyszę nawet, gdy kto głośno krzyczy i woła—ale gdy matka moja dotyka drzwi rękami, usłyszę zawsze natychmiast; jestto szmer taki, jakby kto dotykał drzwi miękkim piórem ptasiem. Matka rzekła mi w ten wieczór, że głos Agnieszki zmienił się, stał się miękki i głęboki, więc matka wie, że ona pokochała kogoś.

OBCY. Czy matka pańska pytała ją wtedy, kogo pokochała?

SYN. Nie, nie! Ale skoro jakikolwiek mężczyzna przyszedł do nas w odwiedziny, matka nasłuchiwała pilnie, a gdy Agnieszka mówiła, śledziła głos jej.— I gdy mężczyzna ów odszedł, matka potrząsała głową i mówiła, że to nie ten, którego Agnieszka kocha. Aż pe-

wnego wieczora matka znowu weszła do mego pokoju. Rzekła mi, iż mężczyzna, którego kocha moja siostra, jest nam nieznany; Agnieszka spotyka się z nim w lesie i oboje idą w ustronny zakątek, gdzie są samotni, siedzą tam na ławce i szeptem rozmawiają.

OBCY. Czy nas kto śledził?

SYN. Nikt pana nie widział. Matka moja prosiła mnie, bym jej opisał drogę, wiodącą z domu naszego do lasu, poprzez łąkę, wzdłuż płotu, poprzez las, wokoło jeziora. Zamyśliłem się. Tysiąc razy chodziłem tą drogą, a jednak opisać jej nie mogłem. Nie mogłem sobie nic przypomnieć. Dziś przed południem dwukrotnie przeszedłem tą drogą, tam i napowrót. Narysowałem ją na kartce papieru i zapamiętałem kędy wystają korzenie drzew, kędy, łąka jest wilgotną, a kędy trawa wyschła. Matka zrozumiała mnie natychmiast, gdym jej opisywał tę drogę. A potem kazała mi, abym wieczorem poszedł przez łąkę ku rozstajnej drodze, gdzie stoją dwa wielkie drzewa i żebym tam czekał, aż nadejdzie mężczyzna, który się zatrzy-

ma koło tych drzew. Do tego mężczyzny kazała mi przystąpić i powiedzieć mu, że moja siostra nie przyjdzie.

OBCY. A czy pan ma także pewność, że ona nie przyjdzie?

SYN. Matka kazała mi ją zamknąć.

OBCY. Czy matka pańska nie kazała mi nic więcej powiedzieć?

SYN. Kazała mi błagać pana gorąco, byś nie prześladował mojej siostry.

OBCY. Ależ ja nie prześladowuję pańskiej siostry.

SYN. Matka moja kazała mi także powiedzieć panu, że grzechem jest zatrucić duszę dziecka.

OBCY. Ja jej nie zatruwam!

SYN. Matka moja kazała mi rozmówić się z panem poważnie.

OBCY. A więc cóż pan mi chce powiedzieć?

SYN. Otóż właśnie, tego ja sam nie wiem.

OBCY. Może usiądziemy na chwilę tu w trawie nad rowem? Pan nie jesteś już młody.

SYN. Mam lat trzydzieści.

OBCY. Tylko?

SYN. Dużo czytam.

OBCY. Tak. Pańska siostra ma więcej blasku w oczach.

SYN. Co pan trzyma w ręku i wacha?

OBCY. Czy nie poznaje pan tej woni?

SYN. Ponieważ pan o tem mówi, здаje mi się...

OBCY. Oto leżą na mej dłoni. — Widzi pan—to są źdźbła trawy—a to koniczyna.

SYN. Czy to może...? Tak, ale w takim razie musi to być tem, co ludzie nazywają sianem.

OBCY. Rano trawę skoszono, potem ją rozrzuciono i tak leżała rozpostarta na łące, a słońce suszyło ją gorącemi swemi promieniami. Wiatr muskał to wonne już siano, a skowronek śpiewał swą pieśń w górze ponad niem.

SYN. Nie znałem dotychczas tej woni.—Ale na cóż pan patrzy tam w górze?

OBCY. Czy widzi pan tam cokolwiek?

SYN. Nie. Nie widzę tam nic więcej, tylko niebo.

OBCY. A niebo pan zna?

SYN. Czy ja znam niebo? Ilekroć chcę wyjść z domu, zawsze spoglądam na nie, by zobaczyć, czy się na deszcz nie zbiera.

OBCY. Lubię patrzeć w niebo, śleźć okiem przesuwające się po niem obłoki i gonić je, hen, w dal.

SYN. Ach, tak... Teraz, gdy pan mi to mówi... To rzeczywiście jest dziwne... bardzo dziwne.

Chwila milczenia.

Ktoś nadchodzi.

OBCY. Dziewczyna. Wiejska dziewczyna.—Czy miałbyś pan odwagę przemówić do niej pierwszy, gdy będzie nas mijać?

SYN. Dlaczego bym nie miał mieć odwagi przemówić do niej?

OBCY. I cóżbyś pan jej powiedział?

SYN. «Dobry wieczór» — rozumie się. A potem...

OBCY. Powiedz pan jej więc «dobry wieczór», gdy będzie mimo nas przechodzić. Widzi pan ją? Jest młoda jeszcze, młodziutka, chód jej nie ociężał jeszcze, stąpa lekko, swobodnie, ma ręce małe. Cicho! Otóż jest kolo nas.

SYN. Jaka ona piękna!

Chwila milczenia.

OBCY. Minęła nas. Ale pan nie miał odwagi przemówić do niej.

SYN. Czy pan widział jej twarz...? Tak, ja nie wiem, ale... Nie... czy pan to widział?

OBCY. Zarumieniła się.

SYN. Zarumieniła się? A to dlaczego?

OBCY. Boś pan na nią patrzył. I powiedział pan jej, że jest piękna.

SYN. Dziwne...

Chwila milczenia.

Czy pan widział kiedykolwiek coś tak ładnego i dobrego, jak jej oczy?

Chwila milczenia.

Patrz pan, jak obłoki snują się po niebie...

Chwila milczenia.

Czy ona wistocie zarumieniła się? I to tylko dlatego, że pan patrzył na nią i powiedział jej, że jest piękna?

Chwila milczenia.

Patrz pan, teraz chmury czerwienić się zaczynają. Czy pan to widzi? Nie... Niech pan goni je okiem po niebie!

Czy pan to widział kiedykolwiek przedtem? Jakież to dziwne! A czuje pan zapach siana? Siano leży wkoło nas na łące. Czy to nie cudowny zapach? I pomyśl pan, że to tylko trawa i koniczyna, co kołysała się i chwiała w gorących blaskach słońca, a ptaki wzlatując nad nią, śpiewały swe pieśni i szczebiotały. A teraz, o zachodzie słońca, leży tu zeschła, a jednak wonieje, pachnie tak silnie, iż wierzyćby można, że słońce jest jeszcze na niebie. — Czy pan nie sądzi, że to jest piękne? — Ale dlaczego pan teraz nic nie mówi?

OBCY. I pan przychodzi do mnie, by mi powiedzieć, że pańska młoda siostra nie przyjdzie tu, że my nie mamy się już nigdy zobaczyć?

Chwila milczenia.

Chce pan już iść?

SYN wstaje.

OBCY. Powiedz pan więc Agnieszce, że zostaję tu i czekam na nią. Ale co pan robi?

SYN. Czy to nie jest siano?

OBCY. Tak. To siano.

SYN. Czy można wziąć z sobą do pokoju woń siana?

II.

SYN. Czy jesteś tu Agnieszko?

CÓRKA. Jestem.

SYN. Położyłaś się do łóżka?

CÓRKA. Leżę na łóżku.

SYN. Płaczesz?

CÓRKA. Nie. Już nie płaczę.

SYN. Co to? Tu na podłodze leży krzesło. A tu! Czy to stół przewrócony? Kto tu był?

CÓRKA. Ja.

SYN. Ciemno tu jest. Zbliżam się do ciebie. A co to? Poduszka mokra. Musiałaś długo płakać, mała Agnieszko?

CÓRKA. Wyplakałam wszystkie łzy, które miałam.

SYN. I ja nie wiem także, jak to się stało.

CÓRKA. Co?

SYN. Ale matka kazała mi tak postąpić. A więc musiało to być słuszne

i sprawiedliwe, skoro matka tak mówiła. Prawda?

CÓRKA. Może być.

SYN. Czyś próbowała uciec stąd?

CÓRKA. Okna są tak wązkie w tem więzieniu. Szukałam noża, ale go nie miałam. Nic nie miałam więcej prócz małych nożyczek i kilku szpilek.

SYN. Coś potem robiła?

CÓRKA. Przewróciłam stół. Sądziłam, że usłyszycie to i że matka albo ty wejdziecie do pokoju, do mnie. I chciałam stać przy drzwiach, a gdyby otwarto wymknąć się. Ale nikt nie przyszedł.

SYN. A potem?

CÓRKA. Nie pamiętam już. Zdaje mi się, że zdarłam skórę z rąk i poraniłam się.—Przypominam sobie, że nagle uczułam ogromne zmęczenie, a potem płakałam.

SYN. Ale... ale sama przecież mówiłaś, że matka i ja możemy dobrze postąpić?

CÓRKA. Ależ mnie nic nie obchodzi co dobre, a co złe. Nie troszczę się o to wcale.

SYN. Ale dotąd zawsze troszczyłaś się o to.

CÓRKA. Lubiłam także dotychczas kwiaty. Pamiętasz moją różę w wazonie. Było na niej mnóstwo pączków. Dziś nie mogłam się rozstać z nią, bo dwa pączki właśnie rozkwitnąć miały, a ja tego doczekać się nie mogłam. Ale właśnie przed chwilą byłam u okna i zerwałam oba te pączki i porwałam je w drobne kawałki.

SYN. Ależ Agnieszko!...

CÓRKA. Nigdy dotychczas nie uczyniłam przykrości żadnemu zwierzęciu.— Dawniej, gdy mucha brzęczała po pokoju, latała i brzęczała — nic mnie to nie obchodziło. A dziś znieść tego nie mogłam. Nie mogłam tego słuchać: — Chwyciłam jedną i zabiłam.

SYN. Ależ Agnieszko!...

CÓRKA. Gdy będę znowu mogła płakać, będę i to opłakiwać.

SYN. Ależ ja nie chciałem ci wyrządzić przykrości. Ja cię przecież tak kocham, Agnieszko!

CÓRKA. I ja kocham moją różę. Bardzo ją kocham!

SYN. Ależ musisz zastanowić się nad tem, że ja tego wcale nie rozumiem... ja się na tem wcale nie znam... na tem... tak, właśnie na tem... bo to chyba musi być miłość. Prawda? Gdybyś ty mi mogła powiedzieć, co to jest miłość?

CÓRKA. Tego nie wiem.

SYN. Ale gdybyś mi choć trochę mogła to wyjaśnić!

CÓRKA. Nic nie wiem. Za dużo płakałam.

SYN. Dlaczego płakałaś?

CÓRKA. On czekał na mnie i godzinę całą mogłam być przy nim.

Milczenie.

SYN. Agnieszko!

CÓRKA. Co?

SYN. Muszę ci jeszcze jedno powiedzieć.

CÓRKA. Co?

SYN. To, co on mi kazał ci powiedzieć.

CÓRKA. Tyś z nim mówił?

SYN. Kazał powiedzieć ci, że czeka na ciebie.

CÓRKA. Drogi mój! kochany! Czy to prawda? On czeka na mnie? (zrywa się). On mnie oczekuje! Dlaczegoś mi tego pierwszej nie powiedział!?

SYN. Czeka Agnieszko! Włosy twe się rozplotły, chustka się rozwiązała, jesteś bosa!

CÓRKA. Nie zatrzymuj mnie! Mój drogi! Dlaczego mi zaraz nie powiedziałeś, że on czeka na mnie?! (wybiega).

SYN (sam). Nie mogłem inaczej postąpić! Nie! Bo nie wiedziałem, kto ma słuszość.

III.

MATKA (woła z zewnątrz). Henryku! — Henryku! — (wchodzi). Teraz już sama sobie dałam rady. Nie przywykłam do tego, abyś ty pozwolił się wołać. Do tego nigdy nie byłam dotąd zmuszona. (Chwila milczenia). Dlaczego nie podejdziesz ku mnie? Zwykle bierzesz mnie za rękę i prowadzisz do krzesła, na którym mam usiąść, bo zawsze wszędzie, po wszystkich krzesłach leżą rę-

kopisy i książki. Czy dziś wieczór nie ma tu dla mnie miejsca?

SYN. Ależ jest matko! Zawsze! Najbliższe ciebie krzesło, tuż koło stołu.

MATKA. Ależ na tem krześle zawsze leży najwięcej papierów (szuka ręką). Nie, dziś ich niema.

SYN. Dlaczego nie siadasz, matko?

MATKA. Ach, chciałam tylko... (szuka ręką) i na tem krześle niema książek... i na tem także... a na tym małym stoliku... nic niema... a na biurku...

SYN. Nie dotykaj się biurka, matko!

MATKA. Niema na niem małych karteczek z notatkami.

SYN. Niechże mama usiądzie!

MATKA. Tak... Teraz usiądę... tutaj, tuż koło lampy.

SYN. Lampa się nie pali.

MATKA. Wiem o tem. Nie czuję jej gorąca.

Chwila milczenia.

Co tutaj tak pachnie? Coś musi leżeć na stole... — Wszakże to siano... Prawda?

SYN. Tak jest. To tylko siano.

MATKA. To *tylko* siano — na biurku?

SYN. Matko!

MATKA. Co Henryku?

SYN. Ja... ja zaglądałem do Agnieszki.

MATKA. Wiem o tem.

SYN. Mówiłem z nią.

MATKA. Wiem o tem!

SYN. I... i...

MATKA. Wiem wszystko. Wiem wszystko doskonale. Słyszałam, jakeś wszedł do niej. I słyszałam, jak wybiegła z domu. I słyszałam twe kroki, gdyś wyszedł z jej pokoju. I... i wiedziałam także, wchodząc tu, że twe książki zamknięte są w szafie, a rękopisy twe usunięte, odłożone na bok.

SYN. Gdzieś była cały wieczór, matko?

MATKA. Tam, gdzie bywam zawsze. Siedziałam przy oknie w swym miękkim fotelu i wciągałam w siebie woń mojej geranji i słyszałam, jak ćma nocna tłukła się o szyby mego okna, by wydostać się z pokoju na wolność. I wtedy otworzyłam okno, by mogła ulecieć na swobodę, czułam jak fala świeżego powietrza wchodziła do pokoju i wdychałam w siebie woń kwiatów, rosnących w ogrodzie.

SYN. Tak, ale o czym myślałaś, matko?

MATKA. Myśli jest tak wiele i są one tak dziwne, Henryku!

SYN. Dlaczego nazywasz mnie Henrykiem?

MATKA. Tak ci przecież na imię.

SYN. Zwykle mówiłaś do mnie dotąd «mój chłopcze».

MATKA. Ach, tak! Zwykle tak cię nazywam.—Tak, tak... Ale o czym to mówiliśmy, Henryku?

SYN. Pytałem cię, matko, o czym myślałaś.

MATKA (milczy).

SYN. Myślałaś przecież o czymś, co mi chcesz powiedzieć. Czy tak?

MATKA (przecząco potrząsa głową; po chwili milczenia mówi jednak). Siedziałam tam przy oknie i zdawało mi się, że jestem starsza jeszcze, niż w rzeczywistości. Stawałam się przygarbioną i małą, i wreszcie znowu powróciłam w swe dzieciinne lata. Siedziałam na małym stołeczku, miałam przed sobą dużą książkę z baśniami i sylabizowałam baśń jedną, głoska za głoską... (urywa).

SYN. Chcesz mi opowiedzieć tę baśń, matko. Czy tak?

MATKA (potrząsa przecząco głową; po chwili milczenia mówi jednak). ...Była raz młoda matka, która strasznie dużo wycierpiała wielkiego, złego świata. I lęk wziął tę matkę o dzieci jej.

Wzięła je za ręce i poszła z niemi w dal. Szła dzień jeden i drugi i trzeci, aż przyszła w miejsce, kędy niebo było niebieskie i ziemia zielona, a po za tem nic więcej nie było. I tam zbudowała mały bielutki domek, a naokoło domku założyła ogródek, w którym na grządkach rosły rozmaite kwiaty. Kwiatów było mnóstwo. A naokoło ogrodu uczyniła gęsty żywopłot z róż dzikich.

Ale gdy dzieci leżały już w łóžeczkach i usnęły, i matka chodziła wieczorem po ogrodzie, wydało się jej pewnego razu, że nie jest sama w ogrodzie, że jest w nim jeszcze ktoś więcej. Stara kobieta szła za nią krok w krok i szeptała jej do ucha:

«Dlaczego zasiałaś tu te prastare kwiaty? W innych ogrodach kwitną cu-

downe róże, jakby czarno-purpurowy aksamit, albo żółto-czerwony jedwab i zwisają z murów podobne białym pucharom, napełnionym złotem winem. Gdy dzieci twe nieco podrosną i nabiorą sił, wtedy przeskoczą żywopłot i zobaczą tamte, inne ogrody».

Matka z trudem wymawiając słowa i jakby zanosząc modły za sobą, odpowiedziała:

«Wzdłuż białych murów domu mojego zasadziłam czerwone róże, a wszystkie te kwiaty, które tu rosną, rosły w ogrodzie matki mojej».

Dzieci dorastały i matka nauczyła córkę swą prząść i tkać, a gdy noga dziewczynki spoczęła na kołowrotku i w ruch go puszczała, córka nuciła piosnkę, której matka ją nauczyła, a którą matka w dzieciństwie swem śpiewała.

Wtedy znowu przed matką zjawiła się owa stara kobieta i stojąc przed nią, mówiła jej z groźbą w głosie:

«Nigdzie nikt już na kołowrotku nie przędzie, tylko w twym białym dom-

ku. Kiedyś, kiedyś, dziecko tve w niedoli i rozpaczy bładzić będzie po wzgórzach i błoniach, jak ptak oswojony, który nie zna życia swobodnych ptaków wśród pól i lasów, i nie umie zdobywać żywności».

A matka zadrżała wówczas i łkając szeptała:

«Chcę ją przy sobie zatrzymać! Chcę ją zatrzymać przy sobie!»

I matka synowi swemu dała izbę, której okna zwrócone były ku północy, izby blask słońca go nie raził, a gorąco nie czyniło go ospałym. I na długich półkach ustawiła w tej izbie mnóstwo starych ksiąg, które ojciec jej ongi czytywał, ksiąg w skórę oprawnych, dziwnie zdobnych ksiąg mniszych z obrazami malowanemi czerwienią i złotem. A w małej, ciężkiej szafce, żelazem okutej, złożyła zwoje pergaminu, u których zwisały pieczęcie...

SYN. Matko!

MATKA. Czego chcesz Henryku?

SYN. Matko!

MATKA. Ale wieczora pewnego o zmroku matka zeszła do ogrodu i przecha-

działa się po nim, gdy nagle usłyszała za sobą kroki owej starej kobiety. Kolaną ugięły się pod nią i zadrżały; skryła się w krzaki i uciekała poprzez grzędy kwiatów, jak zwierzę ścigane przez psy gończe. Ach! gdybyż była mogła uciec! Ale wciąż słyszała za sobą kroki owej starej kobiety, goniącej ją trop w trop.

I nareszcie matka padła na wzgórze z darniny i skryła oblicze swe w wysokiej trawie i łzy jej spływały w zimną rosę.

«Biedna ty matko! — rzekła do niej owa stara kobieta. — Nie możesz już dalej uciekać. Sił ci już nie staje. Czy nie możesz spojrzeć w większą dal czasu, w dalszą przyszłość? Nie wznoś murów tak wysokich! Ciężko mu będzie walić je i zdzierać, gdy dorośnie i sam budować zechce nowe gmachy na tym gruncie!»

A wówczas kurcz bolesny chwycił serce matki i nic nie mogła odpowiedzieć owej starej kobiecie.

Odtąd przemijał rok za rokiem.

Róże, które stały parami, zmieniono wiele razy; ambra stała się krzewem o pniu grubym. Aż wreszcie nastął dzień, w którym kołowrotek ucichł, zamilkł. Tam, w ogrodzie kwiaty zrywała owa nie mała dziewczynka, ale już dorosłe dziewczę. Dziewczyna wycięła otwór w żywopłocie, okalającym ogród. Matka widziała to, patrzyła na to i tchu jej brakło i pytała córki, zaklinając ją na miłość boską, by powiedziała jej, co czyni i dlaczego to czyni. Ale córka nic nie odpowiedziała matce, tylko stała wpatrzona w błonie, idące w dal, stała przy otworze wyciętym w żywopłocie i oddychała głęboko.

A wkrótce potem zniknęła.

Wówczas matka wybiegła do ogrodu, biegła przez pola, poprzez bagna, poprzez lasy, padała potykając się o korzenie drzew wielkich. Ale późnym wieczorem powróciła do domu znużona śmiertelnie.

I ujrzała, że syn jej opuścił także dom.

Koń, na którym odjechał, pozostawił

głębokie ślady podków swoich w miękkiej ziemi, na której dom ów był zbudowany.

Za synem matka płakać nie mogła.

Ale przyszło na nią dziwne i gorące pożądanie spotkania znów owej starej kobiety.

I odginać poczęła gałęzie róż w żywopłocie, poraniła sobie palce do krwi na kolcach i wchodziła w gęstwą krzaków, szukając.

Lecz ani śladu nie znalazła.

Nagle wydało jej się, że sama jest ową starą kobietą. I sama szła za sobą krok w krok, sama sobie groziła i sama chwyciła się za ramiona, sama drżała przed sobą.

A owa stara kobieta — ona sama — pytała matki, jej samej:

«Gdzież oni są? Żali nie uciekli od ciebie z radościami swemi?»

Ale matka nie miała odwagi, by spojrzeć w oczy owej starej kobiety, — nie miała odwagi spojrzeć w głąb własnej swej duszy i tylko szeptała urywanym głosem:

«Wszak darłam pierze z własnej swej piersi, by zbudować to gniazdo».

Ale owa stara kobieta chwyciła ją za pierś, matka sama za pierś się chwyciła, pytając:

«Dlaczegoś to uczyniła?»

Wówczas minęła chwila, a potem łzy popłynęły z oczu matki, mogła płakać, płakała łagodnie i rzekła:

«Nie miałam odwagi zaprowadzić ich do lotu, nauczyć ich latać. Ale może kiedyś powrócą oni do mnie, by u mnie szukać ukojenia bólów swoich, smutków i rozczarowań. I wtedy będzie tak, jak chciałam.

Milczenie.

MATKA (wstaje). Dobranoc ci — mój chłopcze!

BIBLIOTEKA

UMCS

LUBLIN

~~Biblioteka Uniwersytetu Ludowego~~

~~im. A. Mickiewicza w Przemyślu.~~

~~L~~

Własność publiczna!
Uprasza się nie pisać i nie niszczyć.

UTWORY DRAMATYCZNE

- | | | |
|------|--|------|
| 155. | Maeterlinck. Joyezella. Sztuka, tłum. A. Lange. | - 20 |
| 156. | Verga. Rycerskość wieśniacza. Dramat, przełożył i poprzedził szkicem o weryzmie A. Strzelecki. | - 10 |
| 157. | Sofokles. Antygona, tragedia, w przekładzie Kazimierza Morawskiego. | - 15 |
| 158. | Brieux. Wykolejeni. (Les Avaries). Sztuka, tłumaczył Z. Morawski. | - 25 |
| 159. | Brieux. Przyjaciółka. Sztuka w czterech aktach, przełożył T. Jaroszyński. | --- |
| 160. | Felicjan. Franczeska z Raveny. Sztuka. | - 10 |
| 182. | Björnstjerne-Björnson. Rękawiczka. Sztuka w trzech aktach, tłumaczyła M. Bujno. | --- |
| 188. | Kalidasa. Sakuntala. Sztuka, przełożył podług tłumaczenia niemieckiego A. Strzelecki. | --- |
| 189. | Hauptman G. Święto pokoju. Katastrofa rodzinna. Sztuka, tłumaczył A. Strzelecki. | - 25 |
| 190. | Björnstjerne-Björnson. Ponad siły. Sztuka. | - 20 |
| 192. | Nowiński J. Biała gołąbka. Poemat dramatyczny w 5 aktach. Wydanie II. | - 35 |
| 195. | Nani G. E. Burza w ciemności. Dramat, przełożył A. Strzelecki. | - 10 |
| 210. | Björnstjerne-Björnson. Bankructwo. Dramat w 4 aktach, przełożył A. Strzelecki. | - 25 |
| 211. | Steenbuch A. Małe dramaty. Miłość—Kamelja—Po latach, przekład A. Strzeleckiego. | --- |
| 212. | — -- Mazurek. — W mrokach. | - 10 |
| 228. | Maeterlinck M. Śmierć Tintagilesa. | - 10 |
| 230. | Sewer i T. Miciński. Marcin Łuba. Dramat. | - 20 |
| 248. | Bauer L. Pokonani. Rozmowy dramatyczne, tłumaczył A. Strzelecki. | --- |
| 249. | Górczyński B. W noc lipcową. Dramat. Wydanie II. | --- |
| 251. | Złodziej. Komedja w jednym akcie, przez Oktawa Mirbeau, tłumaczył Stanisław Pieniążek. | - 10 |
| | Ibsen H. Nora (Domek lalki). Dramat w trzech aktach, przekład C. Danielewskiego. | --- |
| | — Podpory społeczeństwa. Dramat w czterech aktach, przekład C. Danielewskiego. | --- |
| | Björnstjerne-Björnson. Nowożeńcy. Komedja w dwóch aktach, przekład E. Lubowskiego. | --- |
| | Grabbe Ch. D. Don Juan i Faust Tragedja w czterech aktach, tłumaczył A. Strzelecki. | --- |

~~Uprasza się nie pisać i nie niszczyć.~~

Własność publiczna!
Uprasza się nie pisać i nie niszczyć.

Własność publiczna!
Uprasza się nie pisać i nie niszczyć

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A | 20995 |

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000171923